

„Moja rodzina na zakrętach historii”

Jego celem było przypomnienie, nie zawsze oczywistej dla wielu Polaków prawdy, że dzieje ojczyzny wplecione są w historię domu rodzinnego, miasta, wsi, obyczajów i tradycji. Stowarzyszenie Miłośników Historii Mówionej chce zainteresować młodych ludzi opowieściami swoich rodziców, dziadków, bliskich, które jako ustna tradycja są źródłem pomagającym odkryć i zrozumieć prawdę o przeszłości.

Autorzy trzech prac ocenionych najwyżej przez jury – otrzymali dwa indeksy na historię na Katolicki Uniwersytet Lubelski i jeden na Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej. (filologia polska - specjalizacja redaktorsko-medialna, trzy UMCS, w tym Kolegium Licencjackie w Radomiu i Białej Podlaskiej), socjologia i pedagogika (po jednym, KUL-Stalowa Wola), a także na dziennikarstwo (dwa indeksy, Wydział Politologii UMCS). Dwa lubelskie uniwersytety zapewniają laureatom w sumie 10 indeksów. Dwadzieścia najlepszych prac uhonorowano wyróżnieniami w postaci dyplomów i książek o tematyce historycznej. Najciekawsze prace zostaną opublikowane, natomiast opiekun zwycięzcy otrzyma tytuł

Prace należy nadsyłać w 5 jednobrzmiących egzemplarzach na adres organizatora:

Polskie Radio Lublin ul. Obrońców Pokoju 2 20-030 Lublin Stowarzyszenie Miłośników
Historii Mówionej konkurs@radio.lublin.pl <http://www.radio.lublin.pl/>

Na konkurs ten zgłosił swoją pracę **Damian Kruk ze Śliwnicy**.

Przed wysłaniem, jego tekst skróciłem dość znacznie, ale nie wygładzałem go stylistycznie. Starałem się też zachować mocne niekiedy zabarwienie emocjonalne.

Damian nie zdobył wprawdzie żadnej nagrody, ani wyróżnienia, bo konkurencja była bardzo mocna, ale napisał ciekawy tekst, który postanowiłem udostępnić na naszej parafialnej stronie internetowej.

ks. BS red.

ANKIETA

1. Imię i nazwisko autora Damian KRUK

2. Szkoła: Zespół Szkół Zawodowych nr. 1 Technikum Elektryczne

3. Adres szkoły: (w tym elektroniczny) tel: Przemysł Dworskiego 100 tel 016-675-0484
zsizr1przemysl@poczta.wp.pl

4. Adres prywatny w tym telefon: Śliwnica 62a tel 016-671-8486

5. Temat „Moja rodzina w okresie wojny i po wojnie”

6. Kraj, region będący przedmiotem pracy: Polska, Przemysł i okolice

Imiona osób, które będą opisywane: Helena i Józef Kruk Janina Sawicka

7. Czy załączono inne materiały; Tak – tekst i foto na krążku (na żądanie)

8. Opiekun pracy konkursowej (imię nazwisko, adres elektroniczny, telefon

Ks, Stanisław Bartmiński, poboszcz parafii Krasiczyn 50 tel 016-671-8414 poczta elektroniczna
Stabar1@poczta.onet.pl.

9. czy interesuje mnie w przyszłości studiowanie historii. Tak

„Moja rodzina w okresie wojny i po wojnie”

Historię mojej rodziny chciałbym rozpocząć od roku 1912. Wtedy mój pradziadek Franciszek Renkas i prababcia Marta Renkas wyjechali do Nowego Yorku w Stanach Zjednoczonych w poszukiwaniu lepszego życia.



Tu, na zdjęciu, moi pradiadkowie z pierwszym dzieckiem: Franciszek i Marta Renkas z małym Jenem.

Na początku żyło im się bardzo dobrze, jednak prababcia źle się czuła. Prawdopodobnie nie odpowiadał jej tamtejszy klimat. W roku 1912 urodziło im się pierwsze dziecko, syn Jaś. Ponieważ samopoczucie babci było coraz gorsze, wspólnie z dziadkiem zdecydowali, że powróci ona do Polski. Była wtedy w trzecim miesiącu ciąży. Wkrótce, już w Polsce, w Reczpolu, niedaleko Przemyśla urodziła się córka Aniela. Mój pradziadek zamierzał wrócić do kraju w roku 1914, jednak wojna, która wybuchła w tym roku, pokrzyżowała jego plany. Ostatecznie powrócił do ojczyzny dopiero po I wojnie, gdy Jaś miał siedem lat i w ogóle nie pamiętał ojca. Wkrótce jedna stali się znów rodziną, mieszkali w Reczpolu w gminie

Krzywcza. Urodziło im się jeszcze dwoje dzieci, Leon w roku 1923 i moja babcia Helena w r. 1927.



To właśnie fotografia mojej babci Heleny Kruk, z domu Renkas.

Jak wspominają dziś, żyło im się bardzo ciężko, zwłaszcza podczas panujących srogich zim. Warunki życia w tamtych czasach były okropne. Wielu umierało z powodu gruźlicy, zapalenia płuc a nawet grypy. Gdy w roku 1927 na gruźlicę umarł pradziadek, dla całej rodziny nadeszły bardzo ciężkie czasy: Prababcia, która sama musiała utrzymywać czwórkę dzieci ledwie wiązała koniec końcem. Mieszkali z dala od sklepu i drogi, w samym środku lasu w starym domku leśniczego. Pomagała im rodzina, przygotowując od czasu do czasu ciepły posiłek, gdy prababcia musiała pracować. Gdy Janek nieco podrośł i zaczął pomagać w domu, sytuacja stawała się coraz lepsza. Przynajmniej nie głodowali. Moja babcia do dziś wspomina: „Gdy byłam małą, często brakowało w domu chleba”. Mieli się też w co ubrać, bo wcześniej i tego nie mieli. Ale nadal chodzili na bosaka. Pierwsze buty babcia dostała gdy miała 12 lat i szła do I Komunii św. Do kościoła i sklepu było daleko – siedem kilometrów.

Kiedy w roku 1939 wybuchła II wojna, ludzie myśleli, że to koniec świata. Nie dość, że nie było za co żyć, to jeszcze okupanci wykorzystywali ludzi do przymusowych prac. Jeśli ktoś nie chciał, albo nie mógł pracować trafiał do więzienia, z którego wielu nigdy nie wróciło. Wszystkie szkoły zostały pozamykane, nikt nie mógł się uczyć, chociaż wielu nauczyło się wtedy ciężkiej pracy.

Moja babcia do dziś pamięta początek wojny. 1 września miała 12 lat i była dopiero co do I Komunii św. Bawiła się w ogródku, gdy naraz na niebie pojawiły się – nie wiadomo skąd – samoloty i było słychać straszne wybuchy od strony Przemyśla. Jedno było pewne – rozpoczęła się wojna. Ludzie we wsi nie wiedzieli co robić, gdzie się kryć, zapanował wielki chaos. Babcia wspomina, że niektórzy uciekali, inni szli walczyć, a jeszcze inni chowali się. Starszy brat babci zrobił dziurę w skale nad Sanem i tam się chowali, dopóki sytuacja się nie uspokoiła. Wujek babci poszedł na wojnę i już nigdy nie wrócił.

Polska została podzielona między Niemcy i Związek Radziecki. Granica przebiegała na Sanie, właśnie w Reczpolu i rozdzieliła krewnych i znajomych. Ludzie przechodzili przez granicę do swoich, chcieli porozmawiać. Wielu zginęło na Sanie. Reczpol był po stronie niemieckiej. Okupanci chodzili po gospodarstwach i zabierali to ziemniaki, to pszenicę, czy inne uprawy, zabierali też zwierzęta: świnie, krowy, kury. Trochę jednak zostawiali. Ludzie sami meli ziarno na żarnach, potem robili chleb, co było w tamtych czasach nie raz jedynym pożywieniem. Ale za to były surowe kary.

W wieku 14 lat babcia poszła na służbę do obcego domu, bo nie było co jeść. To był rok 1942, który zapisał się w pamięci jako „Głodny rok”. Przez Polskę przeszła straszliwa burza i wybiła wszystką pszenicę, szczególnie na terenach dzisiejszego Podkarpacia. Rodzeństwo babci też poszło do pracy w obcych gospodarstwach. Babcia w zamian za jedzenie i dach nad głową przez całe dni wypasała krowy, karmiła i dbała o inne zwierzęta, zajmowała się całym gospodarstwem. Wspomina, że gospodyni niechętnie dawała jej jeść, a kiedy dawała to bardzo mało. Nieraz czuła się słaba, a zawsze głodna, ale musiała pracować, bo tylko tak mogła przeżyć. Kiedy kryzys się skończył, babcia znów zamieszkała z mamą i rodzeństwem w swoim domu w Reczpolu. Ale tego roku nie może zapomnieć. I gdy narzekamy, na dzisiejsze czasy mówi, że bardzo by chciała mieć tak jak my mamy teraz. Na Reczpolu mieszkało także kilka Żydów, Babcia mówi, że pewnego dnia Niemcy zabrali ich wszystkich i nikt ich więcej nie widział. Ludzie nie mogli się pogodzić z tym, co Niemcy robili bezkarnie z Żydami i Polakami. Każdy ich nienawidził, chcieli ich pozabijać, ale każdy był bezradny.

Wojna skończyła się co prawda w roku 1945, jednak na tych terenach, blisko granicy z Ukrainą nadal przebywało wiele band ukraińskich. W roku 1946 rozpoczęły się przesiedlenia na Zachód. Przesiedlali głównie ludzi z rodzin mieszanych. Ci, którzy pozostali na miejscu, jak rodzina mojej babci, byli często oskarżani o ukrywanie w swoich domach banderowców. Takie były czasy, że w dzień przychodziło wojsko polskie, a nocami często banderowcy chodzili po gospodarstwach, zabierali jedzenie, pieniądze, a także zwierzęta. Zabijali nawet napotkanych ludzi. Tak zginął brat mojej babci, Janek, który przed śmiercią otrzymał wezwanie do ambasady amerykańskiej, bo urodził się w Stanach. W samo Boże Ciało wracał przez las z lekarstwami dla chorej żony. Zawołał go, przebrany za polskiego żołnierza ukraiński partyzant. Nie wrócił już nigdy do domu, a po kilku dniach znaleziono go martwego w Sanie. Znaleziono też dziewczynę z Maćkowic, prawdopodobnie oboje zginęli w jednym czasie. Taki sam los podzieliło jeszcze wiele ludzi. W Reczpolu, wiosce mojej babci zginęło sześć osób. Babcia przesiedziała w więzieniu razem z siostrą dziewięć miesięcy, bo wpłynął na nie donos, że ukrywali członków ukraińskiej partyzantki. Była to nieprawda, bo ukrywały polskich żołnierzy. Dopiero po prawie roku, gdy znaleźli się żołnierze których przechowywały, zostały zwolnione. Po wyjściu z więzienia w 1948 r, babcia rozpoczęła pracę w zakładach PGR w Mielnowie. Wtedy były to duże zakłady i zatrudniały wiele osób. Tam właśnie poznała dziadka i w roku 1953 wzięli ślub.



Losy mego dziadka

Mój dziadek Józef Kruk, urodził się w roku 1930 w małej miejscowości Krzeczkowa koło Birczy. Mieszkał tam z matką Pelagią, ojcem Andrzejem, siostrą Hanką urodzoną w 1936 i trzema braćmi.



Michałem z roku 1926, Stanisławem z 1928 i najmłodszym Piotrusiem z 1932. Gdy dziadek miał 12 lat, w czasie wojny, ojciec zostawił ich. Uciekł do Niemiec, tam ożenił się i założył rodzinę. O swoich zapomniał. Oni zostali sami i żyło im się równie ciężko jak rodzinie babci, może nawet gorzej, bo mieli świadomość, że zostali porzuceni. Ponieważ mama dziadka Pelagia, często chorowała, i dziadek jako młody chłopak i jego rodzeństwo samo musiało zajmować się domem i chorą mamą. Gdyby tego było mało, to jeszcze trwała ta straszna wojna, która pochłonęła tyle ofiar.

Najstarszy brat dziadka też uciekł do Niemiec i nie wrócił. Rodzeństwo długo go poszukiwało. Zresztą uciekało dużo ludzi. Tych, których złapano, zsyłano na Sybir, daleko w głąb Rosji. Sytuacja dziadka po rosyjskiej stronie Sanu, była jeszcze gorsza niż babci. Sowieci często rabowali gospodarstwa, zabierali wszystko,. Nie tak jak Niemcy u babci, tylko część. I po tej stronie Sanu ludzie cierpieli głód.

W głodnym roku 1942, dziadek pracował u pewnej kobiety, był odpowiedzialny za jej gospodarstwo. Dziadek wspomina, że była to straszna kobieta. Pracował w każdy dzień, nawet w niedzielę, zawsze o głodzie, bo oszczędzał jedzenie dla mamy i młodszego rodzeństwa w domu. Było im bardzo ciężko, nie

mieli ojca. W tym roku dziadek miał przystąpić do I Komunii św. był już gotowy, ale gospodyni kazała mu paść krowy. Gdy skończył – było już po wszystkim. Do I Komunii przystąpił dopiero jak miał 18 lat, podczas wywózki, na Śląsku.

W 1947 roku, gdy sytuacja w kraju w miarę się unormowała i skończyła się wojna, zaczęły się wysiedlenia na Zachód. Dotknęły one wyłącznie miejscowości leżących niedaleko granicy w Rosję. Rodzina dziadka została wysiedlona na Śląsk. Padło na nich oskarżenie o pomoc w ukrywaniu się bandom ukraińskim i dawanie im jedzenia. Dziadek wspomina, że wojsko kazało się szybko spakować i bez słowa wywieźli ich do - jak się potem okazało – do nieznanego im Śląska. Początkowo nie umieli się przystosować do tamtejszych warunków, ale z czasem się oswoili. Dziadek z bratem Piotrkim zatrudnili się w kopalni węgla w Bytomiu, a po roku przenieśli się do kopalni w Rudzie Śląskiej. Dziadek mówi, że mieli ogromne szczęście, że nie zginęli w kopalni, bo prawie co tydzień ktoś ginął przywalony przez węgiel. W roku 1950 wraz z bratem postanowili wrócić w rodzinne strony. Na miejscu zastali ruiny i same fundamenty. Ich dom został zniszczony i rozkradziony, nie została nawet jedna deska. Za pieniądze zarobione w kopalni kupili dom w Mielnowie, w małej wsi koło Krasicy i tam zamieszkali. Brat Piotrem wkrótce zmarł na raka, drugi brat i siostra założyli własne rodziny, a dziadek mieszkał sam z mamą. Pracował w PGR – i tam poznał babcię, z którą wziął ślub i wspólnie zamieszkali w Mielnowie.

Ich wspólne losy.



Mój dziadek i Babcia czyli państwo Krukowie, poznali się w roku 1950, ślub wzięli trzy lata później 12, września 1953. Niedługo po ślubie dziadek dostał wezwanie do wojska, odsłużył dwa lata i wrócił do pracy w PGR.

W tym samym 1955 roku urodziła się im córeczka Grażynka, ale żyła niespełna trzy miesiące. Dziadkowie bardzo przeżyli jej śmierć, jednak wkrótce urodziła się moja **ciotka Danuta** i życie wróciło do normy. Niedługo przyszły na świat kolejne dzieci: W

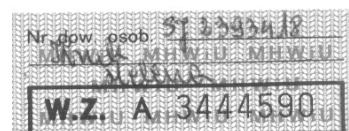
1958 najstarszy z moich wujków **Zenek**, po nim, w roku 1960 **mój tato Tadeusz** i kolejni wujkowie: **Staszek z roku 1962 i najmłodszy Andrzej z 1965.**



Początkowo mieszkali w Mielnowie. W roku 1968 przenieśli się do Tarnawiec, bliżej miasta, gdzie mieszkali dwa lata, aż w końcu w 1970 roku dziadek kupił dom nad Sanem w Śliwnicy i tu osiedli już na stałe. Gdy zmarła mama dziadka w roku 1965, moja babcia musiała zwolnić się z pracy, aby zająć się dziećmi, dziadek w PGR pracował do roku 1968, kiedy to zamknięto Zakłady. Po stracie pracy zatrudnił się w zakładzie oczyszczania miasta w Przemyśle i tu przepracował do 1990 roku, kiedy przeszedł na emeryturę. Rodzina żyła z pensji dziadka, który przez 10 lat, dzień w dzień jeździł motorem do pracy do odległego o 20 km. Przemyśla. Autobusy zaczęły kursować dopiero później.

Dziadek na swoim „komarku”

Po odchowaniu dzieci, babcia wróciła do pracy w 1986 roku i przez 3 lata pracowała w Zamku w Krasicy: gotowała, sprzątała, dbała o rośliny w parku. Babcia mówi, że był taki czas, kiedy jedzenie sprzedawane było na kartki. Było wyznaczone co i ile się komu należy. Babcia zachowała taką jedną kartkę. Ta była chyba na mięso – pamięta babcia. Brat mojej babci Leon znał dobrze księcia Leona Sapiechę, brata Adama Sapiehy kardynała. Często odwiedzał księcia Leona w Zamku. Gdy wybuchła wojna, księżę



ZESPÓŁ ZAMKOWO-PARKOWY
Ośrodek wypoczynkowy
KRASICA

M. zrodz.	Data	Pod.	M. zrodz.	Data	Pod.
rodzaj	wybr.	pis.	rodzaj	wybr.	pis.
WZ	1960	WZ	WZ	1960	WZ
WZ	1960	WZ	WZ	1960	WZ
WZ	1960	WZ	WZ	1960	WZ
WZ	1960	WZ	WZ	1960	WZ
WZ	1960	WZ	WZ	1960	WZ
WZ	1960	WZ	WZ	1960	WZ
WZ	1960	WZ	WZ	1960	WZ

musiał uciekać. Później już nigdy się nie widzieli, bo księżę został zabity gdzieś pod Krakowem

W roku 1990 rodzeństwo dziadka odnalazło za pośrednictwem Czerwonego Krzyża najstarszego



brata, który podczas wojny wyjechał do Niemiec i słuch o nim zaginął. Okazało się, że z Niemiec pojechał do Szwajcarii, Tam przebywał dwa lata i wyjechał do Australii. Wkrótce potem ożenił się , również z polką i zamieszkali tam na stałe. Żył w przekonaniu, że jego rodzina zginęła. Bardzo się ucieszył, że żyją, i zapragnął ich odwiedzić. Przyleciał do Polski, w tym samym roku i odwiedził wszystkich. Przyjeżdżał jeszcze dwa razy, Zmarł w 1997roku Jednak jego dzieci i żona utrzymują z nami stały kontakt.

Na tym zdjęciu siedzą od lewej: Najstarszy brat dziadka Michał, ten, który wyjechał do Australii, w środku brat Staszek , a na końcu siedzi mój dziadek, Zdjęcie z roku 1990

Z rodziny mojej babci żyje jeszcze tylko ona, a z rodziny dziadka został on i siostra Hanka, która mieszka w Pikulinach koło Przemyśla. Obecnie wszystkie dzieci mojej babci i dziadka mają własne rodziny. Ja sam zostałem wychowany przeważnie przez babcię i dziadka, bo rodzice pracowali. W dzieciństwie wiele nasłuchałem się opowiadań związanych z wojną i jej skutkami, o głodzie i nędzy. Oni dziadkowie musieli wiele wycierpieć, abyśmy dziś mogli chodzić do polskich szkół i mówić w swoim ojczystym języku. Czuję się dumny że mam takich wspaniałych Babcię i Dziadka.



Wspomnienia z dzieciństwa Janiny Sawickiej

Chcę jeszcze przedstawić inny obraz wojny, niż ten widziany oczami mojej babci i dziadka. Dla każdego, żyjącego wówczas człowieka wojna była strasznym przeżyciem. Pani Sawicka mogła pomieszać chronologię, ale tak to dzisiaj pamięta. Najważniejsze jednak: przedstawia prawdziwe oblicze wojny a także czasu powojennego.

Pani Janina urodziła się w roku 1930 w Przemyślu, ale mieszkała z rodzicami i babcią w Śliwnicy. Dziadek mieszkał w Komarze, bo opiekował się swoją umierającą matką. Wspomnienia rozpoczyna od momentu rozpoczęcia II wojny Światowej, czyli od roku 1939.

Ojciec pani Janiny woził drzewo z lasu do różnych ludzi i z tego żyli. Wracał raz z pracy i zatrzymano go w Krasiczynie, bo była mobilizacja do wojska. Pożegnał się z rodziną i poszedł do wojska. W tym czasie, na gruźlicę, zmarła jego matka. Gdy wrócił na Sanie była granica między Rosją a Niemcami. W nocy z małą panią Janiną przeprowił się przez San i zamieszkał z rodziną w Korytnikach, skąd mu było poręczniej wozić drzewo do Przemyśla. Tu przeżywała okupację. Pani Janina pamięta, że na Sanie były ustawione pontony, którymi książe Sapieha mieszkający w Krasiczyńskim zamku, wywozili drogocenne rzeczy. Sapiehowie schronili się w Korytnikach, ale szybko uciekając przed grożącą mu śmiercią przenieśli się do Krakowa. Ale myślę, że to było wcześniej, zanim Niemcy odstąpili Krasiczyn Ruskim. Potem książe zginął na wojnie.

Pani Janina mówi, że gdy księżęta przebywali w Korytnikach wielu ludziom rozdawali buty. Ona sama dostała od księżnej ładne i wygodne drewniaczki oraz dużo cukierków. Wcześniej chodziła w dużych butach ojca. Ubierała się w to, co ojciec dostał za drzewo. Ubrania były zawsze za duże i podarte, dlatego była szczęśliwa z tego co otrzymała od księżnej. Na Śliwnicy mieszkała jej babcia. Miała ona krowę jeśli tylko mogła, przynosiła im mleko do Korytnik. Rosjanie jednak niechętnie dawali jej przepustkę. Za to trzeba było płacić. Dlatego ludzie często przekradali się przez San. Było to ryzykowne, Rosjanie od razu strzelali, a Niemcy wsadzali takich do więzienia.

Podczas ich pobytu w Korytnikach Niemcy i Rosjanie zaczęli ze sobą walczyć> Pani Janina była wtedy w piątej klasie. Z ojcem i innymi ludźmi uciekli do lasu. Ukryli się w potoku w zaroślach, w szalasie. Ojciec z innymi zakradał się do wioski i przynosił kradzione kury, bo nie mieli co jeść. Gdy sytuacja się uspokoiła wrócili do wsi, ale zastali dom doszczętnie spalony. Prawdopodobnie przez pocisk z armaty. Pani Janina z ojcem wrócili do Śliwnicy. Ojciec miał przez to dużo trudniejszą sytuację z dojazdem i ledwie wiązał konie z końcem. Nadszedł „głodny” rok 1942. Nie było co jeść. Pani Janina pamięta, że jedli trawę. Dziadek sprzedał konia, a potem krowę za dwa metry żyta. Żyto melli na żarnach. gotowali z wodą i solą i jedli ten „czyr” jak to nazywali. Innym było gorzej, Gdy nie mieli żyta jedli gotowaną lebiodę i pokrzywy. Niektórzy dzielili się jedzeniem inni nie. wspomina pani Janina. Ludzie chodzili „na bosaka”, Idąc do kościoła buty zakładali dopiero na miejscu.

Wojna skończyła się w roku 1945, ale sytuacja stała się jeszcze gorsza. W lasach wokół Przemyśla, zwłaszcza blisko granicy z Ukrainą, ukrywały się liczne grupy ukraińskiej partyzantki, Mówiono na nich „Banderowcy”. Rodzina pani Janiny uniknęła wysiedlenia na zachód. Nie mieli gospodarstwa ani nie hodowali zwierząt, więc nie nachodzili ich, jak innych zamożniejszych, banderowcy. Takie wizyty nie raz kończyły się tragicznie.

W sam dzień swojej I Komunii musiała uciekać z domu, bo banderowcy grozili im, że zginą. Przez miesiąc mieszkali u krewnych o ogromnej ciasnocie. Ale wtedy ludzie chętnie sobie pomagali i zawsze można było liczyć na czyjaś pomocną dłoń. Raz do nich w nocy przyszli banderowcy i kazali szybko opuścić dom. Przenieśli się do domu krewnej w Mielnowie. Ale tu było dużo gorzej, daleko od drogi, nawet wojsko tu nie przychodziło. Zresztą droga z Przemyśla na Sanok była nazywana „drogą śmierci”, wojsko też nie chciało się tam zapuszczać. Ukrywający się w lasach partyzanci mieli przewagę, zresztą znali lasy. Pani Janina widziała w Mielnowie pomordowanych ludzi, z których wielu znała. Tragiczna była historia znanej jej rodziny Szubanów. Rodzina składała się z 10 osób: siedmiorga dzieci i rodziców. Żyli z pensji ojca pracującego w lesie. Pewnej nocy zabrali ojca i zabili. Pani Janina pamięta też inne wydarzenia: Jak zastrzelili jej 18 letniego kolegę wraz z dziadkiem dwoma wujkami, a postrzelona babcia zmarła po tygodniu. Albo jak przyszli na plebanię ukraińską w Olszanach, zabrali rodzinę księdza i rozstrzelali nad Sanem. Ich ciała długo tam leżały, bo nikt nie chciał ze strachu ich pochować. Nie tylko ich. W lasach było pewnie więcej trupów, nie mających własnych grobów. Gdy stryj pani Janiny wracał z robotnikami z lasu, napadnięto ich na Górze Olszańskej. Wszyscy zginęli, przeżył tylko on i do dziś nie wie jak znalazł się Birczy oddalonej o 15 km. od Olszan. Był ciężko ranny.

Z PGR w Mielnowie zginęli ówczesny dyrektor, sekretarka i księgowa. Wszystkich położyli na wozie i wywieźli do lasu. Nikt ich więcej nie widział. To tylko niektóre wspomnienia pani Janiny z pobytów w Mielnowie. Dlatego, gdy tylko mogli wrócić do opuszczonego przez banderowców domu w Śliwnicy bardzo się ucieszyli. Tu było bezpieczniej, bo ludzie w Krasieczynie utworzyli oddział samoobrony, takiej przypomocnej policji. Pani Janina, chociaż miała dopiero 17 lat, znalazła pracę przy pasieniu krów. Pracowała tak pół roku. Na noc, w krowami, chroniła się na placu z krasieczyńskim Zamku, bo tu ludzie czuli się bezpieczni. Czasem nocowała na strychu swego domu, ale to było ryzykowne, bo nocami przychodzili i zabierali bydło i żywność.

Pani Janina wspomina tragedię, jaką przeżyło wiele rodzin z Krasieczyna. Gdy z Tarnawiec przyszła wiadomość, że są tam koniokrady, kilku polskich partyzantów tam poszło. W zasadzce w lesie wszyscy zginęli, uratował się tylko jeden człowiek. Opowiadał jak ich torturowali. Jeszcze wcześniej odcięli telefon i obstawili drogę na Przemyśl, tak, że nikt nie mógł dostać się do Krasieczyna. Wkrótce na tereny przygraniczne Krasieczyna wkroczyły liczne oddziały wojska, zapewniły spokój i oczyściły las z wrogo nastawionej partyzantki.

Pani Janina mówi, że wojna była straszna. Jednak dwa lata po wojnie były jeszcze gorsze. Było to odczuwalne szczególnie na ziemi przemyskiej. Ona zawsze będzie miała to przed oczami. Można powiedzieć, że miała dużo szczęścia: przeżyła to piekło, a nie wszystkim to się udało. Bardzo bym chciał, aby ten, co to przeczyta, pomyślał jak strasznie wyglądało wtedy życie. Ci co przeżyli, dają nam przykład

Damian Kruk Krasieczyn 2006